



Da Chen
Moja
Cesarzowa

Barwy Orientu

 MIELKA LITERA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Najlepsze ebooki i audiobooki - Brak kosztów wysyłki](#).

Da Chen

Moja Cesarzowa

Fragment

przełożyła Anna Zeller



Robertowi S. Pirie,
szlachetnemu mentorowi

Prolog

Jestem stary, zepsuty i upadły. Jestem jak umarłe drzewo, w którego spróchniałej dziupli kiełkuje łądoga kwiatu – moja ostatnia cesarzowa. Siedzę na werandzie i czuję me obolałe kości, a serce powoli kryje się za horyzontem niczym starzejące się słońce. Jestem tu sam z In-Inem, służącym z pałacu, gdzie byłem guwernerem ostatniego cesarza. In-In jest tak wierny jak myśli o mojej Annabelle.

Starość pozbawia nas wszelkich pragnień. Pozostaje jedynie esencja życia; reszta nie liczy się wcale. Codziennie wstaję, żeby wykonać jedną drobną powinność: spisywać to, co się wydarzyło, poczynawszy od pierwszej iskierki aż po ostateczny płomień; układać z kamyków mych dziejów dolinę rzeki, która teraz toczy swe fale.

Z jakiego powodu? – możecie zapytać. Odpowiedź jest prosta. Żebyście wiedzieli, że żywot mój nie był bezowocny, lecz okazał się godny uwiecznienia.

Jeszcze raz przeżywam na papierze minione dni, rozkoszując się ich blaskiem, tak jak cień igra ze słońcem. To jest opowieść o miłości i przeznaczeniu. Byłem nikim, dopóki pewnego letniego dnia nie zjawiała się Annabelle.

– Tusz przygotowany, panie – odezwał się In-In miękkim głosem, kładąc przede mną kamień pisarski.

Atrament błyszczący niczym zakradająca się noc. Ostrożnie zanurzam końcówkę pędzla, aby zaraz zatańczył na porowatym zwoju.

Spod drżącej ręki wylewa się namiętność, która – jak sądziłem – wygasła przed laty. Jednak wciąż i na zawsze będę płonął, na zawsze pragnął.

Rozdział 1

Nigdy wcześniej nie przejawiałem, ni śladu nawet, upodobania do tego, co młode, delikatne czy ulotne. Każda gałąź mojego drzewa genealogicznego była tak prosta i prawa, że nie rzucała cienia nawet w padających pod ostrym kątem promieniach popołudniowego słońca. Ojciec pracował w rodzinnej kancelarii prawniczej Pickens, Pickens & Davis i w letnie miesiące wyruszał w rejs własnym białym jachtem z wybrzeża Connecticut. Towarzyszyli mu jego znakomici przyjaciele, którzy natarczywie hołubili mnie – jedyne spadkobiercę fortuny – odzianego w marynarskie wdzianko, irytującego chłopczyka o wypłowiałych rzęsach. W najwcześniejszych wspomnieniach stoję we mgle męskich oddechów przesiąkniętych whisky, w gęstych kłębach dymu cygar, wśród pełnych zachwyty słów, które z akcentem właściwym Nowej Anglii cedzili znajomi ojca. Matka, dorodna matrona, była owocem jeszcze szlachetniejszego drzewa, w prostej linii potomkini Elihu Yale'a, założyciela słynnej uczelni noszącej jego imię.

Nigdy nie poddawano dyskusji mojej przyszłości: Phillips Andover, następnie Yale i wreszcie reszta dni spędzonych w rodzinnej kancelarii, a nocy w klubie. Ja też będę sęczył whisky, ćmił cygara i rozglądał się lubieżnie dokoła, podczas gdy moja wybranka, blondyneczka z równie szanowanej rodziny, będzie udawać, że nic nie widzi. Ten sposób na życie wybrał mój ojciec, a przed nim jego ojciec, więc kimże byłem, by odstąpić od tej reguły?

Wszystko zaczęło się tak niewinnie, kiedy byłem jeszcze w szkole średniej, od pierwszych doświadczeń prawiczka z pewną dojrzałą dziewczicą. Pani D. była bezpłodną żoną zawziętego bibliotekarza, która marnotrawiła dni w słońcu Nowej Anglii, połykając zakazane książki o miłości, podczas gdy jej pudel, psisko z wielkim pyskiem, lizał ją między udami w opiętych pończochach. Miała nieco oszołomiony, rozczarowany wzrok. Z jej orzechowych oczu biła udręka i dziwny ból, który – jak jednomyślnie podejrzewał cały kampus – spowodowany był jej bezdzielnym stanem.

Pan D. wyglądał jak mężczyzna pozbawiony nasienia, blady i chudy, bez sumiastego wąsa i owłosionego torsu, co widać było szczególnie w czasie szkolnych rozgrywek krykieta, w których brał udział z przykrością i nieskrywaną niechęcią. Jak zapewniały plotki, to ona musiała być winowajczynią, gdyż zachowywała uległe milczenie winnego. Zresztą oboje mogli brać czynny udział w tej konspiracyjnej grze w bezdzielną, bo każde

z nich zdawało się tak samo jałowe; albo jeszcze inaczej, oboje otrzymali dar płodności, ale ogień żądz nigdy nie zapłonął w ich zimnych, oddzielnych sypialniach. To był stale obecny temat, niby obowiązkowy dział w programie nauczania, którym każdy uczeń Phillips Andover namiętnie parał się tuż po zgaszeniu świateł, a jeszcze zanim sen zdołał wykraść jego duszę. Czułem swoisty dreszcz emocji, kiedy słowo „jałowy” wymawiano na jednym oddechu z nazwiskiem posępanej pani D.

Czasem kosmyk nie zawsze czystych włosów opadał jej na twarz, a jego cienka końcówka niknęła w rozchylonych ustach. Rozłożyste biodra świadczyły o ofiarnym otwarciu płodnej kobiety. Jak ktoś miał czelność o cokolwiek ją oskarżać?

Moje serce wciąż wali mocno na wspomnienie pierwszego dotyku jej drżącej dłoni. To było moje pierwsze Święto Dziękczynienia, które spędziłem w szkole, z dala od śniegów Connecticut. W uszy kłuła zalegająca w kampusie cisza. Pan D. wybrał się w góry, by polować na jelenie, skazując panią D. na towarzystwo pustego domu. Tego popołudnia miałem dyżur i do moich obowiązków należało odkurzenie niewielkiej kolekcji miniaturowych żaglówek, płócien żagli i masztów z bambusa zamkniętych w ozdobionej draperiami bibliotece domu pana D. Kiedy zjawiłem się na miejscu, zastałem panią D. leżącą na sofie niczym rozgwieżdżona, z szeroko rozłożonymi nogami. Biust zakryła otwartą książką. Nie było pudła, choć bez wątplenia smród wiszący w powietrzu wskazywał, że jest blisko.

Pani D. właśnie przebudziła się z krótkiej drzemki i przywitała mnie, otulając me skronie miękkimi dłońmi. Topiłem się jak bałwan w słońcu, chowając twarz w dolinie jej piersi. Miała twarde sutki i miękkie pośladki. Kołysała się pod dyktando namiętnej gry moich palców, jej oddech czuć było whisky przywodzącą na myśl wakacyjnych pasażerów jachtu mojego ojca. W migawce rozmytych scen – latających ptaków, odbitego w oknach światła, pudła wężącego gdzieś w pobliżu i mojego prostego masztu – szeptała kojące słowa i wtedy poczułem ciepło kobiecej dłoni wygłodniałej mojego miecza. Zdarłszy jedwabne pończochy, na oślep worałem się w mokradła.

Och, ten zamierzchły Dzień Dziękczynienia, biada mojej młodości!

Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy we mgle podejrzeń pana D., aż wreszcie dłużej nie mogliśmy znieść napięcia – mnie groziło wydalenie, a jej łatwa do przewidzenia utrata względów pana D. Jednak to właśnie wspomnienie o niej stanowi fundament mojego młodzieńczego pobudzenia. Rozchylone usta, niesforny kosmyk, pusty dom, zimne niebo zasnutę niepokojem nadciągającej śnieżycy, a serce boli mnie tak, jak bolało tego przygnębiającego dnia, a krocze pali, jak paliło owego popołudnia.

Często knułem plany wtargnięcia do pokrytego bluszczem domu pani D., naruszenia jej skrytej w cieniu bezbronności, wywołania jęków, które z ledwością tłumiała w książkowym

oddechu. Nasze ostatnie zbliżenie miało miejsce w czasie pompatycznej imprezy szkolnej, na której do kanciastego stołu dla darczyńców uczelni oraz starych absolwentów zostały zaproszone wszystkie żony akademickich wykładowców. Siedziałem kilka głów dalej od pani D., przy narożnym stoliku, i patrzyłem, jak przeżuwa grillowany stek. Co chwila uśmiechałem się do niej naszym tajemnym kodem miłości, ale ona unikała mojego spojrzenia.

Rozpoczął się bal. Starzy wiarusi pożyczali cudze młode żony, żeby potrzymać je choć przez chwilę w ramionach. Wirowałem z nią po sali pod pozorem walca. Milczała, oblicze miała zasępione, raz po raz tylko błagając, bym przerwał ten taniec. Opierając się na moim ramieniu, kiedy świat kołysał się pod palcami naszych roztańczonych stóp, wypowiedziała trzy najbardziej przerażające w świecie słowa:

– Jestem w ciąży!

Omam nie upuściłem jej na posadzkę. Wstrzymałem oddech na kolejne trzy nieznośnie długie sekundy, aż wreszcie poczułem lekkie szturchnięcie w ramię i w samą porę usłyszałem wybawczy szept pana D.:

– Odbijany.

Czy to, co poczułem, to była ulga, czy raczej ciężar zarzucony na me barki? Nie miałem pewności – te słowa wciąż dudniły echem w moich uszach. W ciemnym kącie sali wlałem w siebie dwie duże szklanki pierwszego lepszego alkoholu i pośpiesznie udałem się do dormitorium.

To musi być kara boska: spłodzić bękart. Co ona teraz pocnie z nim czy też z nią, tą małą częstką mnie?

Po ciągnącym się w nieskończoność tygodniu strachu nagle gruchnęła w kampusie wiadomość o wyjeździe pana D. Cięża pani D. spełniła niewzruszoną klauzulę w testamencie wuja, handlarza alkoholu z Bostonu. Według zapisu pan D., jako jedyny żyjący spadkobierca rodziny D., miał otrzymać zadowolający udział w browarze pod warunkiem, że spłodzi dziedzica krew z krwi i kość z kości. Państwo D. wyjechali zniemacka i odtąd żyłem w ponurej niepewności.

Przez wiele tygodni po ich wyjeździe męczyły mnie koszmary. Za każdym razem budziłem się zlany potem i ciężko dyszałem. Dyrektor Herbert dzwonił do ojca dwa razy, delikatnie komplementując mój zapał do sportu, ale jednocześnie wyrażając zaniepokojenie moim stanem ogólnym. Miałem podkrążone oczy i przejawiałem wyraźny brak entuzjazmu na zajęciach z religii. Szkolna pielęgniarka, po zbadaniu mi puls, zdrapała osad z języka, profesjonalnym ruchem popukała mnie w żebra i zdiagnozowała lekką depresję, którą, jej zdaniem, powinna wyleczyć wizyta w rodzinnym domu i odrobina słońca. To jednak przypadkowe wyznanie krzepkiego kolegi z klasy, niejakiego

Samuela Polka III, syna podłego i pozbawionego skrupułów finansisty, zmyło moją winę *in toto*.

Pewnej nudnej niedzieli, kiedy zdarłem już gardło na porannym wyśpiewywaniu psalmów w szkolnej kaplicy, zażywałem świeżego powietrza wraz z Samem Polkiem tuż przy ogrodzie, który kiedyś należał do pani D. Smętny dzień nastrajał do drętwych pogawędek, dlatego wkrótce ten chłopak z Nowego Jorku uraczył mnie anegdotkami o awanturach z cudzoziemskimi dziwkami, które opisywał jako niebywale uzdolnione nie tylko w swoim rzemiośle, ale również językowo.

– Pojmujesz, Pickens? – zarechotał, mocno rozbawiony własnym żartem. – Powiem ci coś, Pickens. Miałem dużo więcej przyjemności i dużo mniej kłopotów tu za tym żywopłotem. – I wskazał czubkiem buta ogród pani D.

– Co takiego? – syknąłem.

– Zrobiłem to trzy razy z tą bezpłodną panią D. Dwa razy wybrałem się do jej domu, a trzeci raz wziąłem ją za żywopłotem. Zanim go przystrzygli.

Mało nie udusiłem chłopaka gołymi rękami.

Wtedy poczułem, że uwolnił mnie od ciężaru spoczywającego na mych barkach. Poczułem jak oddycham świeżym i lekkim powietrzem bezdziejnej młodości. Jednak mimo tej wolności wciąż tęskniłem za nią – za żywopłotem, ogrodem, bielonym domem, wizją, że za każdym razem, kiedy będzie patrzeć w twarz własnego dziecka, pomyśli o mnie.

Rozdział 2

Po wyjeździe państwa D. Andover stało się dla mnie opustoszałe niczym Zakazane Miasto, pod którego dachami teraz piszę ten nieprawdopodobny dziennik. Kolory zniknęły z jesiennych drzew. Zastanawiało mnie swoiste zadowolenie w oczach otaczających mnie chłopaków, którzy zdawali się opłakiwać wyjazd pani D. Kolejny podejrzany – pełen wigoru nauczyciel wychowania fizycznego, pan Waldran – w przerwach między zajęciami nie siadywał już więcej na niskim murku otaczającym dom zamieszkiwany do tej pory przez D. Odtąd piłki do krykieta, futbolu i wszelkie inne piłki z rzadka wpadały do tego ongiś często odwiedzanego ogródka.

Wkrótce gęsta sieć pajęczyn oplotła sanktuarium naszych serc, a śnieg wybielił pokryty gontem dach, na którym zawisły sopte. Na szczęście szybko nadeszła wiosna i cały strach wyparował wraz z łagodnymi dźwiękami egzotycznego fletu. Dobiegały z okna bielonego domu, w którym kiedyś mieszkali państwo D., i płynęły dalej ponad ogrodem.

W tym miejscu muszę przerwać. Pośpieszne pociągnięcia pędzla pisarskiego, który ściskam w dłoni, rozbudziły demony nocy drzemiące tutaj, w Zakazanym Mieście, gdzie teraz przebywam: zbliżają się kroki nocnych strażników. Trzeba wam wiedzieć, że nieustannie obserwują mnie ślepie ukryte w obrębie tych murów, jak i poza nimi. Na ten los pośród czerwonych ścian Zakazanego Miasta skazało mnie dziewczę wyczarowujące z fletu muzykę, która spowiła owego dnia Andover. Ta właśnie flecistka stała się odpływem i przyływem morza, po którym płynę, stała się moją chwałą i klęską.

Wedle opowiadań, które snuła przy okazji naszych pierwszych nieśmiałych spotkań, została poczęta pewnej bezwietrznej nocy w Egipcie, w czasie podróży po Nilu. Na świat przyszła o świcie, gdy nastawał zmierzch dynastii Qing, w mandzurskim porcie Dalien, gdzie jej ojciec, a wcześniej dziadek, wypełniał posługę misjonarską w kościele Jezusa Chrystusa, w północnym oddziale tej światowej kongregacji. Hawthornowie z dziada pradziada należeli do klanu dumnych i odważnych misjonarzy przeświadczonych o potrzebie nabożnej misji i do szczerych orędowników konwencjonalnej postawy. Ojciec dziewczęcia, Hawthorn IV, błękitnej krwi absolwent Phillips Andover, stracił nogę w starciu z pręgowanym tygrysem w górach Changbai. Naówczas otrzymał od swego pracodawcy, Kongregacji Północnoamerykańskiej, inne posłannictwo i zawitał raz jeszcze w kampusie własnej alma mater, sprowadzając tu ukochaną córeczkę wprost w moje

ramiona.

Jasnowłosa i błękitnooka Annabelle, kapryśna jedynaczka, wychowana w kraju Orientu, niczym chińska cesarzowa lubiła wkładać zdobioną kwiecistym haftem szatę, podarunek od tamtejszego gubernatora wojskowego. Podróżując przez Pacyfik, nabawiła się melancholii i odtąd przepełniała ją nostalgia za krajem, który na wskroś zwiedziła. Bambusowy flet, przez który przepływał dziewczęcy oddech, niósł melodie z krainy pokrytej żółtawym kurzem. Instrument ten, otrzymany w podarku od mnicha z gór Changbai, stał się jedyną pociechą w jej wyrwanej z korzeni egzystencji. Tak płynęło jej życie do chwili, kiedy na scenie zjawiłem się ja.

Ukryci za śpiewnikami kościelnymi – ona, dziewiętnastoletnia nieokiełznana panna młoda, i ja, osiemnastolatek, przeklęty przez los pan młody – szeptaliśmy o tajemnej ucieczce do mglistego królestwa, jej krainy Shangri-La. Annabelle przepełniały mity i mitologia. Nasza świątynia płynęła wśród chmur tej wiosny, która smakowała słodko. A ona marzyła o tym, żeby umrzeć od piekła miłości, żeby być duchem żyjącym cichutko w szczelinie między ścianą a tapetą. Chełpiłem się, że jestem nieustraszonym odkrywcą, który za przewodnika ma tylko światło słońca, a za łożę blask księżyca.

Zakochaliśmy się w sobie szybko i niezdarnie. Ból rodzącej się miłości i monstrualnego pożądania niemal doszczętnie nas wyniszczył w miodowym miesiącu naszego romansu. Ona balansowała między wyimaginowanym szczytem euforii a otchłanią ponurych nastrojów, podczas gdy ja marniałem w stanie powolnej agonii, głodny choćby ulotnych obrazów: spaceru leśną ścieżką, biała lilia wetknięta w jasne loki; godziny spędzone na gałęzi drzewa, jedwab halki powiewający niczym jasny motyl wśród liści; beztroskie śmiechy na huśtawce, wzlot serca.

W porównaniu z panią D. Annabelle była kijanką w źródółku, zaledwie czeladnikiem czarnoksięskiej magii kobiecości, dziewczęciem, które zastygło w oczekiwaniu – w oczekiwaniu na ręce losu, które odsłonią jej płatki. W czasie bezsennych nocy duch pani D., zamężnej męczennicy, podpełzał do ram moich płócien i bezceremonialnie szturczał łokciem Annabelle, by dopełnić portret naszej trójki. Zaskakująca wulgarność pani D. zawstydziała mnie: rozkołysane fałdy brzucha, obfite uda i rozlewający się biust. Wszelkie niuanse dojrzałości spaliły się w płomieniach ognia, z którego popiołów odradzał się feniks Annabelle.

Wciąż drzę na wspomnienie pierwszego dotyku pączkujących piersi Annabelle, kiedy ukrywaliśmy się pod majowymi liśćmi klonu. Parawan z gęstego żywopłotu osłaniał nas od spojrzeń jej matki i przyjaciół, którzy raczyli się popołudniową herbatką. Korony drzew droczyły się grą światła z liśćmi herbaty na stole pokrytym białym obrusem. Dotknąłem jej piersi napiętych pod gładką sukienką. Na niewinnej twarzy pojawił się grymas udręki

i przycisnęła mocniej mą dłoń, potem przesunęła w dół, by powoli zanurzyć ją między swoimi udami. Oboje wstrzymaliśmy oddech, przeciągając tę chwilę w nieskończoność. Moje palce już miały wślizgnąć się po swą zdobycz, gdy nagle zaskoczył nas piskliwy skowyt szczeniaka. Matka wezwała zbłąkaną córkę, by wyszła z ocienionej alkowy. Kiedy zjawiliśmy się przy białym stoliku, podano mi herbatę, którą bez śladu skrępowania przyjąłem.

Pragnienie kiełkujące pod wpływem niespełnionych zabaw za żywopłotem przepełniło nasze dusze jeszcze większą żądzą. Pozornie przypadkowe ocieranie ramion w wąskiej nawie kaplicy rzucało na nas przyprawiające o zawrót głowy uroki; ukradkowe muśnięcie rąk wywoływało potężne niczym piorun wyładowania elektryczne; jej imię wypisane patykiem na piasku sprawiało, że kolana miałem jak z waty, a miecz sztywno uniesiony. Oszaleliśmy zupełnie w tej burzy miłości, która przetoczyła się przez nasze ciała.

Nie umiem powstrzymać drżenia rąk, kiedy przystępuję do opisanie tej nieszczęsnej nocy, gdy spotkaliśmy się po raz ostatni. Nawet mój pałacowy sługa wykrzywił twarz w bólu.

No dalej, mój chłopcze, śmiało rozcieraj, niech tusz będzie czarny i jedwabisty, niech przetrwa dłużej niżli napis wyryty na moim nagrobku. Pragnę, by świat poznał prawdę – tak, prawdę, której nie zrozumie nikt.

Miłość. Otulił nas blask księżycowy. Odurzył nas czerwcowy jaśmin.

Cisza letniej nocy zapadła nad Nową Anglią. Podążałem za wskazówkami zaszyfrowanymi w notatce, którą Annabelle niepostrzeżenie wsunęła do mojego egzemplarza Biblii. Dróżka ułożona z żółtych liści wiodła prosto spod cienia okiennic mojego dormitorium. Beztróska wyskoczyłem przez okno i na palcach zakradłem się wyznaczonym przez nią Jedwabnym Szlakiem, a serce waliło mi jak oszalałe. Nasza schadzka miała miejsce na skrawku polanki, między dwoma stogami siana cuchnącymi czerstwą jesienią.

Annabelle usadowiła się wygodnie na jednym z nich, rozpuściła niedbałym gestem włosy i zapaliła ciekawą fajkę z bambusa zakończoną pojemniczką, z którego unosił się skwierczący dym. Powietrze szybko przesycił mocny, odurzający zapach.

– Pociągnij – zaproponowała, leniwie wydmuchując dym. – To opium.

Zaciągnąłem się bez wahania i lekko się zakrztusiwszy, pocałowałem jej rozchylone usta, które zadrżały od niepohamowanej ekstazy, a dziewczęce, łagodne rysy wykrzywiła miłosna udręka. Omdlały od pożądania ledwie zdołałem unieść rąbek jej spódnicy. Znów się zaciągnęła, wdmuchnęła narkotyczny oddech prosto w me płuca i przez chwilę nawzajem karmiliśmy się wygłodniałymi ustami. Włożyłem wreszcie rękę pod jej spódnicę, żeglując w kierunku ciemnego przeznaczenia, jej pachnącej Shangri-La, a ona

rozsunęła uda, wzdychając z upojenia. Niebo było już blisko. Och, ta rozkoszna, słodka wiosna. W wybuchu najczulszej miłości uwolniłem uwierający miecz. Ujęła mnie delikatnymi dłońmi, sprawiając, że zadrżałem, i otworzyła bramy pałacu. Ruszyłem do przodu, a gwiazdy migotały nade mną i już miałem osiąść moją kusicielkę, kiedy z przekłętej fajki poleciała iskra. Płomień, jak sztorm na wzburzonym morzu, w mig połknął dwa stogi.

Mimo niedołęznego umysłu dobrze pamiętam, jak zepchnęła mnie w momencie, gdy osunęła się na nas pożarta przez ogień wiązka siana, która natychmiast zajęła moją stopę, roztaczając wstrętny smród. Pamiętam, jak kurczowo trzymałem jej smukłe ramię, jej bosą stopę, i wtedy kolejna wiązka opadła na moje barki, wysuwając drobną dłoń z mego uścisku. Znalaziono mnie nieprzytomnego, lekko poparzonego i posiniaczonego, piętnaście stóp od zwęglonych resztek jej ciała, a rękę wciąż miałem wyciągniętą w jej stronę. Od tej nieszczęsnej chwili żyję tylko po to, by żałować każdej sekundy zmarnowanego życia bez niej, mojej Annabelle.

Kiedy władze przesłuchiwały mnie w sprawie pożaru, wyraźnie zakazano mi wspominać o tajemnej schadzce. Istniało wiele śladów łączących mnie z tą feralną nocą, ale macki starego Pickensa zatarły je wszystkie. Mimo to postanowiłem zaprzeczyć zmyślonej bajeczce i napisałem wzruszającą spowiedź, ze szczegółami opisując okoliczności zaproszenia ognia. Po przeczytaniu zeznania ojciec Annabelle i dyrektor nie tylko spalili je w mojej obecności, ale zagrozili wydaleniem z uczelni i wytoczeniem procesu o nieumyślne zabójstwo, jeżeli choćby jedno słowo z tego dramatycznego listu ujrzy światło dzienne.

W oficjalnej kronice Andover śmierć Annabelle została przemilczana. Tragiczne płomienie w roku 1891 odnotowano wyłącznie z powodu pierwszego przypadku pożaru w dziejach słynnego kampusu.

Rozdział 3

Po jej śmierci czułem się zupełnie rozstrojony, a pogłębiająca się depresja doprowadziła do nieustających ataków migreny, sprawiając, że stałem się zaledwie upiornym cieniem młodzieńca, którym kiedyś byłem. Każdej nocy kochałem się z duchem Annabelle, czasami po dwakroć, a czasami po trzykroć, jeśli ból głowy pozwalał. Mogła być martwa dla świata – na jej nagrobku napisano: „Annabelle Hawthorn, 1872-1891, urodzona w Chinach, zmarła w sercu swojej ojczyzny” – ale pod moją kołdrą, w moich ramionach, zawsze była umiłowaną panną młodą, dziewiczą oblubienicą. Kiedy zaczynałem pierwszy rok studiów w Yale, dręczące bóle głowy, o dziwo, osłabły i zainteresowały mnie studia muzyczne. Szczególne ukojenie odnajdywałem w dźwiękach organów niosących się pośród witraży. Dzieła Bacha jawiły się niczym las samotności, w którym łagodnym echem odbijał się anielski śmiech Annabelle; muzyka Beethovena przenosiła mnie na wysepkę tęsknoty, gdzie wśród bujnej zieleni zmysłowo kołysał się cień Annabelle. Na witraże upstrzone gołębimi odchodami patrzyłem jak na słońce w zaćmieniu.

Nawet kiedy organy przestawały grać, muzyka wciąż dźwięczała w mej głowie, jakby w dręczącym odwecie, nocami utrzymując mnie w bezsenności i zawsze blisko mojej Annabelle. Brak snu czynił ze mnie Herkulesa, a z niej Joannę D’Arc. To była istna podróż poślubna, choć w tym czasie powróciły bóle głowy z tak szokującym natężeniem, że momentami chciałem się zabić, nigdy jednak tego nie uczyniłem. Noc zawsze przychodziła w porę, a ja po prostu nie umiałem nie kochać mojej Annabelle.

Trochę bawiłem się poezją, najpierw próbowałem sił w sonetach, a potem w balladach. Ciasne kraty rymu i rytmu pograżyły mnie w klaustrofobicznym mroku. Rozkwitłem w prozie. Widziałem siebie jako przerażonego skoczka, który stoi na szczycie ryczącego wodospadu. Kiedy rzucałem się w przestrzeń, wzlatywałem wysoko jak orzeł i szybowałem. Ten lot, lecz nie mój, tylko mojego zatrutego pióra, zaowocował imponującą liczbą prac: czterdzieści trzy eseje i dwie eklektyczne tragikomedie. Ale prawdziwą perełką pośród tych byle jakich szkiców było dwanaście oprawionych tomów zawierających listy do mojej Annabelle: razem czterysta dwadzieścia jeden listów. W rocznicę dwudziestych urodzin Annabelle spaliłem je wszystkie w płomieniu, który miał położyć kres tej smętnej historii, lecz z którego ja – rozszlochany podpalacz – ledwie zdołałem umknąć.

Ten flirt z ogniem był dla mnie jak katharsis. Zostawił mi bliznę na ciele na wysokości pasa, w miejscu, do którego przywiązałem listy. Okno mego serca nagle się otworzyło; pożądanie opuściło me lędźwie; a natrętne myśli o niewierności zaczęły mnie torturować. Wylewnie spowiadałem się na papierze przed moją Annabelle, a ona płakała wraz ze mną pod rozedrganą od naszych spazmów kołdrą. Dla chwały naszych późniejszych amatorów warto było rozwijać pokutnicze zdolności literackie i dokonywać fałszywego aktu skruchy.

Rozdział 4

Annabelle panowała nade mną jak cesarzowa, którą pragnęła być za życia. Była pozbawiona kształtu, zwiewna jak powietrze, wszechobecna i wszechogarniająca. Żyła wśród światła, wśród powietrza. Przybierała wszystkie kolory tęczy, stawała się wszystkimi porami roku, a ja, jedyny poddany, oddawałem hołd w świątyni jej chwały. W głowie śledziłem jej myśli, jak powstają, rozplývają się, zmieniają i znów znikają. W moim sercu wciąż panował smutek, nie ze mnie, lecz z niej pochodzący. Oplakiwała własną śmierć, a ja oplakiwałem jej żal.

Moje poddanie pozbawiło mnie wszelkich pragnień, bo jej pragnienia stały się teraz moimi, a moje własne zostały ujarzmione. Gdy choćby jedna cząstka mnie buntowała się przeciw jej królewskiej woli, wówczas niczym popołudniowy przypływ zalewała mnie fala bólu, miażdżąc mi skronie i grożąc, że pogrzebie mnie w mroku jej egzystencji. Niby dlaczego miałbym, w jakimś dziwacznym i niezrozumiałym przejawie głupoty, buntować się przeciw tak cudnej władczyni? W swej bezgranicznej szczodrości skąpała mnie w miłości i żądzy, w chłodne noce pieściła swym ciepłem i chroniła mnie wszechmogącą mądrością, dzięki której zdołałem wywinąć się, między innymi od zamknięcia w izolatce.

Dziekan Yale ponaglał mojego ojca wiele razy, żeby skonsultował się z niejakim doktorem Price'em, którego nazwisko idealnie pasowało do jego kosztownej instytucji słynącej z leczenia przypadków opętania. Miałem obowiązkowo stawić się przed Uniwersytecką Komisją Sportową, w której skład wchodził tenże sławny doktor Price, specjalnie zaproszony przez mego ojca, by zbadał moje zdrowie psychiczne. Tuż przed tym Annabelle przeczytała mi fragmenty pewnego periodyku zatytułowanego „Proceeding” wydanego przez Amerykańskie Towarzystwo Badań Parapsychicznych, bostońską instytucję założoną w roku 1850, a specjalizującego się w parapsychologii, telepatii, hipnozie, duchach i zjawiskach paranormalnych. Obszerny artykuł pod tytułem *Opętanie i egzorcyzmy* napisał nie kto inny jak doktor J.S. Price, i to właśnie owa lektura, będąca raczej zgrabną kompilacją pogłosek i plotek niż rzetelnie udowodnioną rozprawą, pozwoliła mi zapoznać się ze szczegółami tej pseudonaukowej dziedziny.

Wykonałem kawał dobrej roboty. W każdej minucie przesłuchania wykazywałem zachowania zupełnie przeciwne do tych wymienionych przez Price'a, na podstawie których diagnozowano opętanie. Byłem pewien siebie i nie ujawniałem nawet w najmniejszym

stopniu żadnych śladów podwójnego życia psychicznego. Tęskniłem za Annabelle (opętani nie odczuwają tęsknoty). Byłem na wskroś chłopięcy, przybywając do auli niekapany od wielu dni (opętani przejmują osobowość nawiedzającego ich ducha – a ona była nieskazitelnie czysta). W końcu wyrzuciłem z siebie łzawą historyjkę o tym, jak to jej duch zjawia się niespodziewanie, strasząc mnie do żywego (opętani nigdy się nie zwierniają). Nie tylko przekonałem tych siwiejących akademików, ale też wyprowadziłem ich w pole moją rzekomą znajomością ciemnej strony, kiedy zasugerowałem hinduską metodę egzorcyzmów – wdmuchiwanie dymu z krowiego łajna w twarz albo palenie świńskich odchodów po łóżkiem. W tym momencie spostrzegłem, że doktor Price zwinnym ruchem wyciągnął chusteczkę i zakrył nią nos.

Członkowie Uniwersyteckiej Komisji Sportowej, po rekomendacji Price'a, zdiagnozowali u mnie głęboką depresję z lekkimi zaledwie urojeniami niezagrażającą mojemu zdrowiu psychicznemu. Nawet odkrycie pod moim łóżkiem powleczonego jedwabiem drewnianego manekina nie kwalifikowało mnie do zsyłki do odosobnionej placówki doktora Price'a. Jednak Price na wszelki wypadek przepisał mi na tę „ponad normę zwichrowaną młodość” dwa klasyczne lekarstwa: ćwiczenia grupowe (wyrugowanie cierpiętniczej strony osobowości poprzez odbudowę krzepkiego ciała, które samo w sobie jest najlepszym lekarstwem) oraz studia orientalne (poznanie „historii życia” ducha w celu jego demistyfikacji, wyświechtana sztuczka).

Jak zaświadcza niniejszy dziennik, oba te zalecenia bostońskiego pogromcy duchów nie tylko nie uwolniły mnie z sieci zarzuconej przez Annabelle, lecz z czasem na wiele sposobów jeszcze mocniej związały moją podłą duszę z iluzją utraconej miłości. Moje ja, używając słów sztuki magicznej doktora Price'a, rozwinęło się od pasywnego jasnowidza do progresywnego łowcy duchów, który przewędrował glob w poszukiwaniu utraconej miłości.

Rozdział 5

W pierwszych latach w Yale unikałem wszelkich wyciskających pot dyscyplin sportowych, które wymagały zaangażowania więcej niż jednego uczestnika. Z obawy przed uszkodzeniem w bezmyślnych przepychankach jej kruchej delikatności trzymałem się z dala od koszykówki i futbolu, a wizja obnażenia Annabelle-w-mojej-głowie w brudnej szatni przerażała mnie. Jednak szczęście się do mnie uśmiechnęło. Zajęcia dodatkowe nadawały odcień różowości temu absolutnie męskiemu wyborowi: pływanie synchroniczne. Zaproszono na uczelnię mistrza świata, by ćwiczył studentów w pięknym pływaniu, a ja (my) dobrze radziliśmy sobie w tym trytońskim balecie. Kobięcy pierwiastek pomógł mi zdobyć jedyną celującą ocenę, którą otrzymałem właśnie od naszego skromnego olimpijczyka.

Do następnej jesieni moje policzki odzyskały rumiany blask i apetyt wyraźnie mi się poprawił: jadłem za dwóch jak rozpasany i obłąkany więzień. Warto wspomnieć, że rygor tego intensywnego sportu absolutnie nie oddzielał mnie od mojego ducha. Przeciwnie, nasze życie erotyczne znów zapłonęło ogniem, a ja w ciągu jednego zaledwie lata wypaliłem doszczętnie pięć manekinów, które skradłem z wyprzedaży bankrutującego domu mody.

Kiedy moje zdrowie wyraźnie się polepszyło, zgodnie z zaleceniami doktora Price'a i za podświadomym łaskawym przyzwoleniem Annabelle rozpocząłem studia orientalne u profesora Archera, znanego orientalisty. Był to człowiek małowówny, który nadawałby się do każdego innego zawodu, tylko nie do nauczania, jednak na swój cichy sposób pokazał nam świat. Siedem białych skał rozrzuconych na chybił trafił w jego japońskim ogrodzie symbolizowało siedem kontynentów. Starożytny Jedwabny Szlak Archer przedstawił za pomocą wytartej pary skórzanych butów, w których przekroczył niedostępną bramę Orientu. Do wspinaczki po szczytach Himalajów wystarczył nam zaledwie górski kask ze śladami obić i bez gogli. Spływ burzliwymi wodami Trzech Przełomów Jangcy odbyliśmy dzięki fotografii, na której trzech nagich do pasa wyrostków ciągnęło na linach łódź wzdłuż brzegu, oraz dzięki butelce mętnej wody zebranej w delcie rzeki. Nikt nie nauczył nas więcej, mając do dyspozycji tak niewiele.

Próba odgadnięcia mistycznej zagadki pogrążała mój umysł w jeszcze większym obłądnie. Annabelle była niczym anioł z niezwykłego Orientu. Teraz jej cały świat groził,

że mnie połknie, a jedyny ratunek zdawał się leżeć w brzuchu bestii.

Czytałem wiele pod kierunkiem Archera i szybko stałem się jego ulubionym studentem. Ublągałem go, żeby w wolnym czasie uczył mnie melodyjnego języka mandaryńskiego, jednego z trzynastu, jakie znał. W swoim zacisznym gabinecie prowadził ręką moją dłoń, bym ćwiczył kaligrafię. Tutaj stawał się elokwentnym człowiekiem, który zasypywał mnie niekończącą się lawiną opowieści. Jedna mała szklaneczka whisky wystarczała mu na trzygodzinną pogawędkę. Czasem zdecydowanym, czasem rozmarzonym pociągnięciem werbalnego pędzla malował pejzaż starożytnego Państwa Środka, gdzie panował cesarz, potomek smoków, a miłowała cesarzowa, latorośl łabędzi. Kartkując stronice podręczników historii, widziałem Annabelle jako cesarzową, która zasiada na złotym tronie; Annabelle, która pływa łódeczką po pałacowym stawie; Annabelle, która dosiada konika mongolskiego i ucieka jak najdalej od murów Zakazanego Miasta, wprost w moje ramiona. I niestety, Annabelle nagą w łóżku z pozbawionym twarzy cesarzem palącym opium w otoczeniu niezliczonych konkubin.

Wkrótce Pekin, miasto Annabelle, przystąpił do abordażu mojego Yale. Jałowe New Haven zlało się z niezwykłym płótnem baśniowego królestwa pełnego złotych pałaców, strzelistych gór, meandrujących rzek: mój świat i jej świat zespoliły się w plątaninie dwóch miast. Yale migotało jak miraż skąpany we wschodzie słońca Zakazanego Miasta. Regały w bibliotece wypełniała nie klasyczna greka czy łacina, lecz wymyślone chińskie zwoje, w których kryła się mądrość tysięcy lat. W moim dormitorium pofalowały się dachy, fasada pokryła się dziewięcioma tańczącymi smokami. Profesor Archer zniknął w ciele kościstego mandzurskiego mnicha, a jego słowa mieszały się z językiem chińskim. Wszędzie wokół studenci Yale zaplatali warkoczyki i wdziewali jedwabne szaty, kłaniając się sobie w pas. Moje zjawy bawiły się ze mną wszędzie w chowanego, budząc puls Annabelle. Czasami wracałem do złotych dni naszej rodzącej się miłości, lecz nie tutaj, w pokrytym bujną zielenią kampusie w Andover, ale we wspaniałym pałacu, gdzie umykała mi między kolumnami, od komnaty do komnaty, a jej śmiech odbijał się echem w moim sercu. Ech, duchy naprawdę mieszkały w New Haven!

Mimo ulotnej zmienności cesarz wciąż pozostawał diabło bezimienny i pozbawiony twarzy. Gdziekolwiek spojrziałem, straszyla mnie intrygująca pustka. W ślad za Annabelle zawsze nadciągał upiór bez twarzy, przyodziany w cesarski strój, pykający z fajeczki. Ależ nienawidziłem jego triumfalnego uśmieszku. Och, te ognie zazdrości! Doprowadziły mnie niemal do granic szaleństwa. Przyczepił się do mnie jak nieznośna migrena, zjawiając się i znikając w zależności od swego widzimi się. Wkrótce Jego Beztwarzowość zawitał pod naszą kołdrę.

– Wracaj do swego jedwabnego łoża! – żądałem ze złością.

Jeszcze bardziej mnie rozdrażniła reakcja Annabelle na nowego członka załogi.

Chichotała konspiracyjnie, chowając się za Jego Beztwarzowością. Musiałem przyznać, że moja iluzja miała romans z inną iluzją, i zrozumiałem, że już czas, by nieszczęśliwy małżonek rozwiązał sprawę po męsku. Wykorzystałem taktykę „dziel i niszcz”.

Na okrągło czytałem pracę doktora Price' a *Odróżnianie rzeczywistości od iluzji*, jedyną rozsądną publikację na ten temat. Roiło się w niej od teoretycznych założeń i przypuszczeń, a zarazem brakowało użytecznych i skutecznych narzędzi. Niemniej w którymś przypisie nasz szanowny doktorek wskazał mi właściwy kierunek w postaci pewnego zastrzeżenia.

Na stronie 367 przestrzegał:

Unikaj mandaryńskiego rytuału zwanego Sha Gui, co oznacza „zabicie ducha”.

W starożytnym obrzędku zaprasza się ukrytego ducha, by się ujawnił za sprawą tajemnych sposobów. Następnie ten, kto dokonuje obrzędku, najczęściej mnich, w obecności ducha składa ofiarę z żywego inwentarza, kończąc żywotność takiej iluzji. Czytelnik musi rozważyć wiążące się z tym srogie konsekwencje. Zazwyczaj ujawnionego ducha nie udaje się zabić, co w sposób nieunikniony prowadzi do wzmocnienia istniejącej iluzji, sprawiając, że opętany będzie żył na zawsze w wirze delirium.

Rozdział 6

Pewien parny poranek zastał mnie w Chinatown, gdzie wręcz roiło się od warkoczyków. Poplamione atramentem ogłoszenie, jakie znalazłem w ulicznym rynsztoku, skierowało me kroki wprost przed wystawową szybę sklepu ukrytego gdzieś przy Canal Street. Szyld głosił krótko w języku mandaryńskim: *Wróżbita & Medium*. Jednooki Chińczyk wygrzebywał woskowinę z ucha innemu Chińczykowi, a żona właściciela, piękność o skrępowanych stópkach, haftowała jedwabny fartuszek. Przy koślawym stoliku siedział chłopiec, siorbiąc z miski gorącą owsiankę. Wyłuszczyłem sprawę łamanym mandaryńskim.

Pochłonięty dłubaniem Chińczyk wyszczeakał:

– Biały diabeł iść stąd!

Chłopak zerwał się, by przepędzić mnie ze sklepu, ale ojciec powstrzymał go i zapytał, ile mogę zapłacić. Okazałem hojność i desperację, szeleszcząc przed jego nosem plikiem banknotów. Chińczyk trzema szybkimi ruchami wyciągnął resztki woskowiny z ucha mężczyzny, który aż zapiszczał z bólu, i po chwili już targował się ze mną w języku pidżyn.

– Białe diabły trzy dolary.

Odpowiedziałem, że nie ma problemu.

– Białe tchórze płacić pięćdziesiąt centów więcej.

– Bez obaw – zapewniłem.

Skinął głową na kobietę i chłopaka, którzy w mgnieniu oka zniknęli za kontuarem, a potem poprowadził mnie nieoświetlonym korytarzem do *gui fan*, komnaty duchów.

Ściany pogrążonej w mroku komnaty zdobiły girlandy kukieł o upiornych ślepiach wlepionych w nas bez przerwy, kiedy siadaliśmy w kręgu: czarne oczyska leśnego ducha, zielone oczy topielca, czerwone ognistej zjawy i różowe rodzącej. Mój *gui shi*, mistrz duchów, z papugą kiwającą się na ramieniu, zapisał imię Annabelle i moje na kawałku papieru, po czym zapytał o przyczynę jej śmierci.

– Pożar – odpowiedziałem.

– To więcej kosztować – mruknął, wyciągając dwa wykrzywione palce.

Kiwnąłem głową i seans się rozpoczął. Najpierw rozległ się głośny gong i chłopak zapalił dwanaście grubych kadzidełek. Dym natychmiast przesycił powietrze. Gong brzmiał

jeszcze, niczym pieśń pogrzebowa, kiedy mistrz zawodzącym tonem zaczął wyśpiewywać imię mej ukochanej.

– An-na-belle. An-na-belle – powtarzał chłopiec za *gui shi*.

Papuga naśladowała chłopca, a ich zlewające się okrzyki utworzyły upiorny refren: „An-na-belle”.

Zmrużyłem oczy podrażnione od gęstego dymu, bym od razu mógł ujrzeć Annabelle, ale *gui shi* krzyknął na mnie:

– Ty nie płakać jeszcze? Dać mi dłonie.

Kiedy je wyciągnąłem, *gui shi* wbił w nie dwie igły.

Załkałem.

Chłopak wstał i zaczął okładać kijem ognistego ducha, a *gui shi* spalił kartkę z naszymi, moim i Annabelle, imionami. Oczy zasły mi łzami, lecz mimo to zobaczyłem Annabelle, jak płynie w powietrzu niczym anioł przewiązany sznurem i kołyszący się pośród dymu. Jej twarz zakrywała czerwona woalka jak u panny młodej, wąska kibić przypominała lodyżkę. Drżącym głosem wołała me imię:

– Peetkins, Peetkins.

Och, najdroższa! Zerwałem się na równe nogi i rzuciłem się do niej, lecz *gui shi* mnie przytrzymał.

– Oto twoja Annabelle – wyszeptał.

– Czy mogę zobaczyć jej twarz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ona wstydić się spalonej twarzy. Brzydka.

– Ależ nie, moja Annabelle – zawołałem, czołgając się za nią, kiedy rozkołysana to znikwała, to pojawiała się wśród mistycznego dymu. – Nigdy nie będziesz dla mnie brzydka.

Proszę, proszę...

Szlochałem tak długo, aż padłem zemdłony od otumaniających kłębow dymu, które przypominały języki ognia tamtej feralnej nocy.

W ostatniej desperackiej próbie złapałem kurczowo Chińczyka za kolana, błagając go, by uwolnił mojego anioła. W odpowiedzi wymierzył mi siarczysty policzek, co przyprawiło mnie o kolejny zawrót głowy, która i tak już mocno pulsowała.

Chłopak zerwał się z podłogi, zagarniając rękami dym w większe kłęby, a gong zabrzmiał jeszcze głośniejsze, wprawiając w vibracje moją błonę bębenkową. Nie umiałem zapanować nad łzami, które płynęły strumieniami po policzkach. Czyżby to był ten atak delirium, o którym wspominał doktor Price? Moje słodkie delirium? Naraz pośród przeredzonego dymu mignęła mi znajoma twarz.

– Kto to? – zapytałem.

– Ty!

– Co ja robię w tym lustrze?

– To nie lustro, biały idioto. Ty być cesarz bez twarzy z twoich snów!

– Ja?

– My zabić go przez odcięcie głowy kurczaka.

Dotknąłem mojej twarzy. To samo uczyniła postać w odbiciu lustrzanym. Wyciągnąłem trzęsące się dłonie i wtedy obraz zniknął tak niespodziewanie, jak się pojawił. Potem pamiętam już tylko, jak chłopak skoczył do mnie z kijem, którym zaczął wymierzać razy ognistemu diabłu, oraz przeraźliwy ból eksplodujący w mojej obolałej głowie.

Ciąg dalszy w wersji pełnej

Rozdział 7

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 8

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 9

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 10

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 11

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 12

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 13

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 14

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 15

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 16

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 17

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 18

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 19

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 20

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 21

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 22

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 23

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 24

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 25

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 26

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 27

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 28

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 29

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 30

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 31

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 32

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 33

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 34

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 35

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 36

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 37

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 38

Dostępne w wersji pełnej

Rozdział 39

Dostępne w wersji pełnej

Podziękowania

Dostępne w wersji pełnej

Moja Cesarzowa

Spis treści

Podziękowania

Tytuł oryginału
MY LAST EMPRESS

Redakcja
Anna Walenko

Korekta
Monika Kiersnowska
Jadwiga Piller

Copyright © 2012 by DS Studios Inc.
This translation published by arrangement with Crown Publishers,
an imprint of the Crown Publishing Group, a division of Random
House, Inc.

Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2012
Copyright © for the translation by Anna Zeller, 2012

Wielka Litera Sp. z o. o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

ISBN 978-83-63387-32-7



Odwiedź
nas na 



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl



Da Chen
Moja
Cesarzowa

Barwy Orientu

 WYDAWNICTWO
MIELKA LITERA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Najlepsze ebooki i audiobooki - Brak kosztów wysyłki](#).